

Coma w Hard Rock Cafe

2011-10-25 - 2011-10-25, Hard Rock Cafe - Warszawa

Żelazna konsekwencja - (Zbigniew Zegler, 2011-10-26)



Koncert w Hard Rock Café zapowiadany był jako „prezentacja nowej [płyty Comy](#)”. Ale mało kto się spodziewał, że zespół poprzestanie na zagranju tylko i wyłącznie premierowego [materiału](#).

A kwintet Matusza, Kobeza, Witosa, Roguca i Marszałka zostawił wypełnioną po brzegi, najślynniejszą rockową jadłodajnię stolicy z niedosytem i klarownym przekazem: teraz tylko „Czerwony Album”, a więcej podczas koncertów regularnej trasy.

Wprawdzie po zejściu muzyków ze sceny najtwardszy elektorat formacji skandował (śpiewał?;) jeszcze „Zbyszek, Zbyszek, kolega z wojska!”, ale nie wpłynęło to na decyzję grupy, która stanowczo postanowiła już tego wieczora nie grać. Nawet koncertowego przeboju z debiutu. Zostawmy jednak dąsy zawiedzonej publiczności. Świadczące zresztą o jej zadowoleniu z tego, co łodzianie zaprezentowali, skoro domagała się więcej... I przejdźmy do tego, co przez godzinę **Coma** pokazała i zagrała.

Scena była czerwona. A jakże! Na czerwonych ścianach wisały „poroża” przypominające te z teledysku do „Na pół”, tylko głowy muzyków były namalowane. Bo te, które radośnie gibały się w klipie, pozostały na karkach artystów. I – co dla nikogo, kto widział to video nie będzie zaskoczeniem – były czarne! Dokładnie pomalowane twarze i szyje robią demoniczne wrażenie, szczególnie, kiedy **Rogucki**, czy któryś z instrumentalistów, błyska białkami oczu. Uważniejsze przyjrzenie się Adamowi i Rafałowi mogło też rozbawić, bo perkusista zostawił sobie niepomalowane „wąsy” a’la Hulk Hogan, czy Paul Teutul Senior, a basista – charakterystyczny owal, znany z twarzy Homera Simpsona.

Poza głównymi bohaterami widowiska i wystrojem sceny, będącym kontynuacją wizji artystycznej zapoczątkowanej na okładce „Czerwonego Albumu” i rozwiniętej w klipie, nie sposób było nie zauważyć potężnych baterii świateł. Wygaszone – wyglądały jak luksfery; zapalone – tworzyły gorejące kaskady i żarzące się labirynty. W każdym razie fenomenalnie uzupełniły nietuzinkową dekorację.

Zachwył oprawą wizualną trochę niwelowało nie do końca zadowalające brzmienie. O ile jestem spokojny o swój narząd słuchu, pochwalony niedawno przez laryngologa, to obawiam się o uszy akustyków, nagłaśniających kilka ostatnich sztuk w stolicy. Tym razem niewiele było słycać poza głosem Roguca. Gitary i bas, których spodziewałem się potężnych, jak dział na Aurorze, zostały za bardzo spłaszczzone i „uśrednione”, przez co „dołu” było momentami tyle, co u Farinelli’ego. Mimo to, **Coma** zagrała więcej, niż przyzwoicie. „0 Rh+” znakomicie sprawdza się w roli „otwieracza” (zapowiadane w kularowych rozmowach chórki gitarzystów naprawdę robią wrażenie), a moje faworytki z płyty, „Deszczowa piosenka”, „Angela” i „W chorym sadzie”, na żywo nabierają większej mocy, niż „czaj” z całego opakowania herbaty. W najbardziej wściekłych fragmentach – choć muzycy odżegnują się od jakichkolwiek inspiracji – przywodzą na myśl thrashmetalowych mistrzów z Bay Area. Wszystkich. Szczególnie, kiedy Adam tłucze w werbel tak szybko, jak w środkowej części „W chorym sadzie”.

I tylko żal, że trwało to tak krótko.